№ 40. Rok XVI.

Dnia 21 Września (3 Października) 1896 r.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

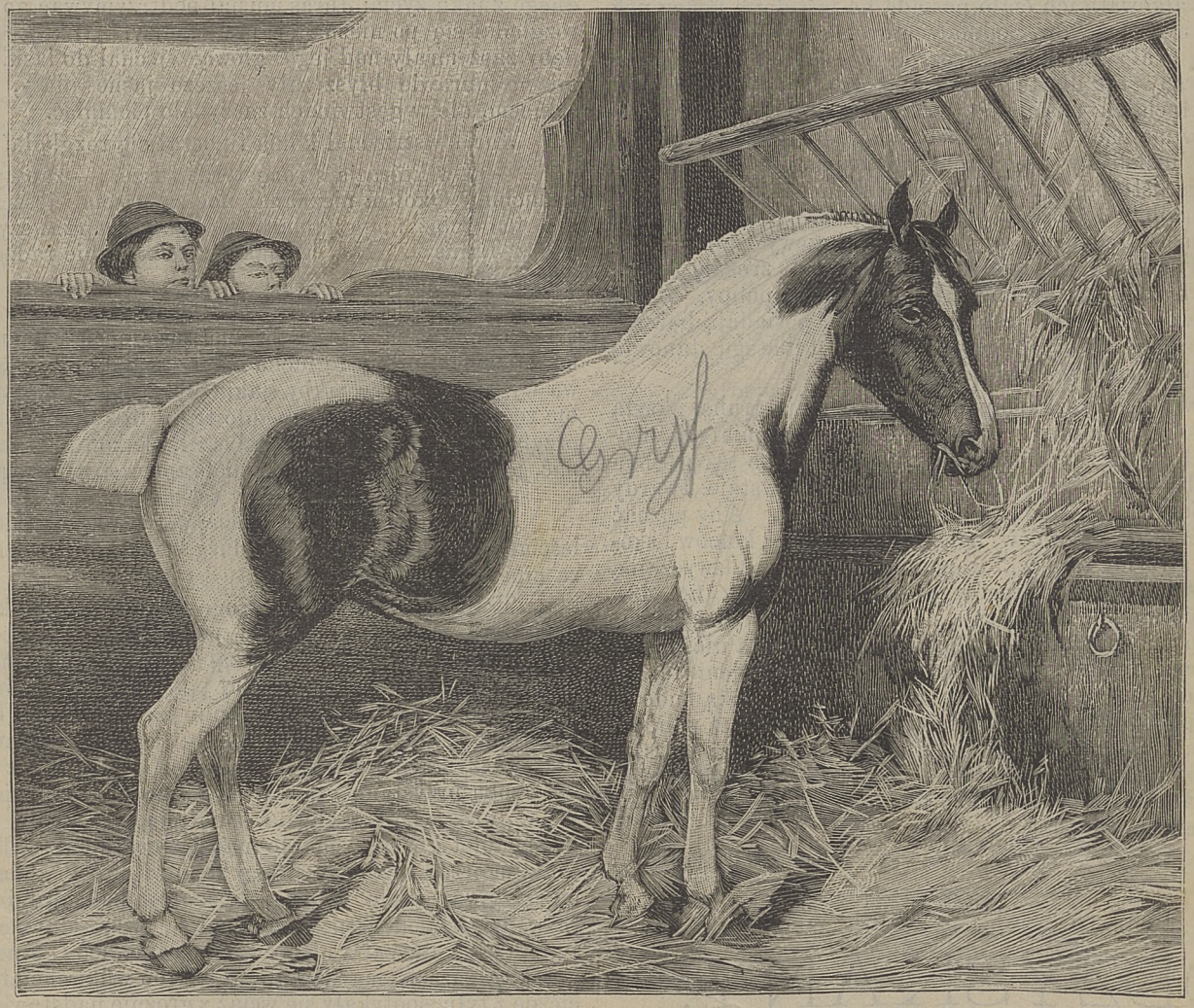

GRYF.

Był koń arabski; Gryf mu było imię;
Łebek miał mały, szyjkę jak toczoną,
A czy to latem, jesienią, czy w zimie,
Różne mu, różne przysmaki znoszono.
Gryf wdzięczny za to, rży zawsze radośnie,
Gdy Adaś woła, lub Wicuś go pieści.

Lecz raz, a było to jakoś ku wiośnie,
Jaskółki lecąc przyniosły mu wieści,
Że stepy całe kwieciem się migocą
I hen dokoła drżą świeżym oddechem
I że na niebie świecą gwiazdy nocą,
I słychać rżenie oddalonem echem.
Gryf, stojąc w stajni, choć przy pełnym żłobie

Ze smutkiem wzrok swój ku słońcu odwrócił,
I patrzył tęskno, jak gdyby w żałobie...
Ach, bo Gryf tęsknił za tem co porzucił.
Tęsknił do stepu szczęśliwej Arabii
Do szumu wichrów i niebios błękitu,
Do matki stada, co źrebięta wabi,
Do tego ptaka, co patrzy z skał szczytu.

Z. Morawska.

Życie w Oceanie

przez

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Jeżowce są niezmiernie rozpowszechnione w niektórych miejscowościach. W czasie pobytu mego w Algerze lubiłam siedzieć na kamiennej grobli w porcie i przyglądać się jeżowcom, których jest tam tak wiele koło brzegu, iż miejscami literalnie zakrywają sobą dna morskie. A ponieważ morze jest tu niezmiernie przezroczyste, z łatwością przeto widzieć można, jak te ciemno fioletowe kule ruszają się powolnie i przyjmują pokarm. Jeżowce mające silne zęby żywią się roślinami, inne zaś, nie posiadające tego uzbrojenia, przyjmują pokarm zwierzęcy. Niektóre gatunki jeżów morskich nie są kuliste lecz mocno spłaszczone (fig. 45).

Do szkarłupni zaliczają się także *strzykwy* albo *ogórki morskie* (fig. 46), do których podobne są z powierzchowności. Długie i wałkowate ich ciało posiada na przednim końcu pęk rozgałęzionych macków, podobnych do liści. Niektóre strzykwy mają ciało zupełnie przezroczyste jak np. *Kotwicznik* fig. 47, zwany tak dla tego, że w skórze jego jest mnóstwo wapiennych ciałek, posiadających kształt kotwicy. Kotwicznik żyje w morzach europejskich, zagrzebany w piasku jak robak. Widzieliśmy z poprzedniego opisu oraz z rycin, że szkarłupnie istotnie zasługują na miano zwierzokrzewów, gdyż są podobne do roślin, ciało ich bywa nawet częstokroć rozgałęzione. Jednakże są to zwierzokrzewy zupełnie odmienne od polipów; nie tworzą nigdy gromad zrośniętych ze sobą i nie bywają tak drobnych rozmiarów jak polipy. Prócz tego budowa ich ciała jest doskonalszą, posiadają bowiem rozmaite organy, których brak polipom i dlatego stanowią wyższy typ poprzednich zwierzokrzewów.

Główną cechą szkarłupni jest to, że mają grubą, okrytą kolcami skórę, w której znajduje się wiele zwapniałych drobniuchnych tabliczek, luźno rozrzuconych, albo też zrośniętych ze sobą jak u jeżowców, a wówczas powstaje twardy pancerz nieruchomy, okrywający całe zwierzę. Aby poznać budowę pancerza jeżowców, należy oczyścić go z kolców i skóry, wtedy ujrzymy tabliczki wapienne ułożone z nadzwyczajną regularnością w 20 szeregów podłużnych (patrz fig. 48). Szkarłupnie w ogóle odznaczają się nader regularnemi kształtami, co pochodzi stąd, że jednakowe części ciała ułożone są jak promienie dokoła środkowego krążka. Promieni takich bywa najczęściej 5 lub też 10, 15, 20 i t. d. Taką budowę ciała zowiemy *promienistą*, właściwą ona jest również polipom i meduzom i dlatego wielki przyrodnik Cuvier nazwał wszystkie te zwierzęta *promieniakami*. Zauważyć jednak należy, że u szkarłupni liczba promieni jest *nieparzysta* a u polipów jest ona zawsze parzystą.

(d. c. n.)

ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

— Oddać go pod straż którego z żołnierzy, niech go odwiezie do najbliższej wsi i poleci aby miano o nim staranie.

To mówiąc, pan Struś obrócił się, a oko jego padło na młodego żołnierza, stojącego najbliżej; był to Juraś.

— Weź rannego naszego towarzysza na konia i zawieź go do jakiej wioski lub futoru — rzekł mu rotmistrz.

Na twarzy Jurasia odbiło się rozczarowanie, on przewidywał niedługo bitwę a tu go wywołują z szeregów. Lecz wolę dowódcy trzeba było spełnić bez szemrania.

Tymczasem pan Struś wydał kilka rozkazów dowódcom chorągwi i nagle hufiec począł się rozdzielać na mniejsze oddziałki, które ruszyły natychmiast w cztery różne strony, aby niedługo później znów się porozdzielać; tym sposobem wkrótce step cały pokrył się i zaroił od ludzi i koni. Drobne te hufce rozbiegły się w najrozmaitszych kierunkach, aż znikły wreszcie na widnokręgu i pozostała tylko pusta przestrzeń stepu, na której trawa zdeptana świadczyła jedynie o niedawnem przejściu jeźdźców.

. . . . . .

Słońce już kładło się za las dębowy, który zdala rozciągał się ciemną linią na horyzoncie, kiedy Juraś skierował się właśnie w tę stronę, sądząc, że w bliskości lasu prędzej natrafi na jakąś siedzibę ludzką niż na gołym stepie. Ranny Janusz, którego wiózł przed sobą, nie dawał jeszcze żadnego znaku życia; Juraś musiał podtrzymywać go a zarazem rozglądał się po nieznanej mu okolicy. Wkrótce stuletnie dęby zaszemrały nad jego głową: wjechał do lasu. Miejscami na murawie błyszczały jeszcze jasne płaty, oświetlone słońcem, ale w gęstwinach zaczynało ciemnieć.

Juraś wstrzymał konia i począł się rozglądać:

— I w którą ja stronę teraz ruszę? — zapytywał siebie w duchu. Okolica nieznana, noc za pasem i jeszcze w dodatku ten wciąż nieprzytomny — dodał, spojrzawszy na bladą twarz Janusza. No, ale jakoś trzeba sobie radzić, nieprawdaż, mój siwy?

To mówiąc, poklepał konia po szyi.

Tymczasem w lesie zwolna zaczęło się ściemniać, ptaki na gałęziach milkły i głucha cisza zapanowała dokoła. Drzewa wyglądały teraz jakby jakie olbrzymy wyciągające ku sobie ręce, aby ująć w swoje koło tego, kto się wdzierał do ich przybytku... Nagle Juraś usłyszał, że koń jego zaczął chrapać, jak gdyby poczuł jakieś niebezpieczeństwo w pobliżu...

— Wilki! — pomyślał w tej chwili.

Jakoż one to były w istocie; zarośla z boku drogi zaszeleściały i wysunął się z nich duży łeb ze sterczącemi uszami za nim drugi i trzeci...

Trzy wilki wyszły na drogę i poczęły iść tak, że jeden znajdował się po lewej, drugi po prawej stronie, ostatni zaś postępował z tyłu. Koń począł chrapać coraz mocniej ale zaciszany przez jeźdźca, pędził jak wiatr, a za nim cichemi kroki podążały wilki, pozostając w jednakiej odległości. Już kwadrans trwał ten dziwny wyścig; koń pod ciężarem dwóch ludzi zaczynał już ustawać; wilki jak gdyby porozumiewając się z sobą przystanęły na chwilę i znów ruszyły cichemi kroki... Juraś czuł, że chwila śmiertelnej walki się zbliża, dobył pistolet i czekał śmiało napaści. Jeden z wilków ruszył teraz naprzód i zabiegł drogę koniowi, który spłoszony, rzucił się gwałtownie w bok, ale skoczył nań drugi napastnik. Siwy był koniem stepowym, znał się więc dobrze z wilkami i nieraz już staczał z niemi walki, użył więc i teraz zwykłego w takich razach manewru; oto ilekroć wilki chciały nań rzucić się z tyłu, spotykały się wciąż z groźnie nadstawionemi zadniemi kopytami. Jeden z napastników został nawet niemi ciężko w łeb ugodzony i padł na drogę, brocząc ziemię posoką. Drugi jednak wspiąwszy się na łapach, chwycił konia z przodu za piersi. Rozległ się kwik bolesny, jaki zwykle wydają konie zranione, ale jednocześnie Juraś strzelił w sam łeb wilkowi, który natychmiast powalił się ciężko. Pozostały napastnik widząc los swoich dwóch towarzyszy, uszedł w zarośla. Ale biedny siwy drogo okupił zwycięztwo, trudy wzruszenia, walki i odniesiona rana tak go wyczerpały, że natychmiast po skończonej utarczce padł na ziemię i nie mógł się już podnieść. Napróżno Juraś zeskoczył z siodła i zło-

żywszy rannego pod drzewem. usiłował pomódz koniowi, ten wyciągał tylko szyję i chrapał cicho ale nie wstawał.

— O mój siwy, mój siwy — zawołał Juraś z boleścią — więc ja mam ciebie tu zostawić na drodze, na pastwę wilków? Jakże to mam rozstać się z tobą? A wszakże myśmy z sobą tyle czasu przebywali razem, tyle dobrego i złego społem przetrwali!

Na myśl tę serce mu się ścisnęło i łzy stanęły w oczach, zdawało mu się, że traci najwierniejszego przyjaciela.

— Gdybyś przynajmniej choć w bitwie poległ, mniejbym ciebie żałował — mówił dalej z westchnieniem, a koń tymczasem chrapał coraz ciszej, aż wreszcie wyciągnął się i zesztywniał.

Juraś nie miał czasu oddawać się dłuższemu żalowi, bo trzeba było myśleć nietylko o własnem, ale i bezpieczeństwie powierzonego mu rannego towarzysza. Noc już zapadła zupełnie, a Juraś drogi tej wcale nie znał; prawdopodobnem było, że droga owa prowadziła do jakiejś wsi, czy też futoru, ale jak daleko te się znajdować mogły, tego określić niepodobna było. Znaleźć się bez konia w nocy, wśród lasu w nieznanej okolicy, było niezbyt miłem i niejeden straciłby głowę w podobnem zdarzeniu, ale Juraś dosyć posiadał hartu w swej naturze, zresztą Bandura od dziecka starał się w nim wyrobić zimną krew w niebezpieczeństwie; więc też pomyślawszy chwil kilka nad swojem położeniem, przyszedł do przekonania, że niema co się puszczać w dalszą drogę, ale trzeba poczekać tu do jutra, aby po dniu białym odnaleźć drogę do siedzib ludzkich. Wyszukał natychmiast małą polankę, na której postanowił rozłożyć się na nocleg. Naściągał więc dosyć suchych gałęzi, skrzesał ognia i rozpalił ognisko, poczem umieścił w pobliżu niego Janusza, którego chłód nocny począł otrzeźwiać nieco, tak, że zaczynał dawać oznaki przytomności. Kilka kropel wódki do reszty go ocuciły; obejrzał się dokoła ze zdziwieniem, potem wzrok jego spoczął na Juraśiu, którego jednak nie poznał.

— Wody! — wyszeptał z wysiłkiem.

Ale wody nie było wcale nigdzie w pobliżu.

— Gdybyś waszmość nie obawiał się zostać tu sam czas niejaki — rzekł Juraś po chwili namysłu, tobym może znalazł gdzie jakie źródło, bo zdaje się, że tu grunt odpowiedni. Wilki nie przyjdą bo te bestye boją się ognia, więc możecie być spokojni...

— Dobrze, dobrze, idźcie, bo chyba umrę z pragnienia.

Natychmiast Juraś znikł w ciemnościach i tylko szelest krzaków wskazywał kierunek jego chodu. Janusz został sam. Przysłuchiwał się czas jakiś odgłosowi oddalających się kroków, ale skoro i ten umilkł, otoczyła go cisza, wśród której las tylko szumiał groźnie. Chwile oczekiwania wydawały mu się wiekiem i mimowoli przychodziło mu na myśl, co by było, gdyby towarzysz jego zabłądził w lesie i nie mógł trafić do ogniska, albo gdyby wilki nadeszły... Na tę myśl włosy stawały mu na głowie, bo jakkolwiek odważnym był i nie brakło mu męztwa na polu bitwy, jednakże śmierć tak okropna budziła w nim przerażenie.

Tymczasem Juraś nie powracał...

— Może go tam gdzie wilki napadły? — myślał Janusz z niepokojem, do którego przyłączyły się coraz większe męczarnie z powodu pragnienia.

Nadstawiał ucha lecz słyszał tylko bicie własnego serca. Spojrzał w niebo; przez gałęzie drzew widać było sklep niebieski, usypany migającemi gwiazdami, wiatr jakiś zbudził się i poszedł po wierzchołkach dębów, które szumiały poważnie i uroczyście, a szum ten to się wzmagał, to cichł stopniowo, jak gdyby drzewa podawały go sobie po kolei, jak gdyby wśród ciszy nocnej las cały szeptał sobie jakieś dziwne tajemnice...

Ale Janusza zaczynały już opanowywać gorączkowe marzenia: raz zdawało mu się, że widzi źródło bijące ze skały i nachyla się, by zaczerpnąć tej chłodnej, kryształowej wody, lecz w żaden sposób nie może jej dosięgnąć; to znów spostrzegał około siebie całe gromady wilków, które go otoczyły i patrzą na niego błyszczącemi ślepiami, a tych ślepi setki tysiące...

Chwilami odzyskiwał przytomność, a czując palące straszne pragnienie, szeptał z rozpaczą:

— Boże, Boże, czy mi tu przyjdzie zginąć?

Poczem znów gorączkowe widzenia go opanowywały, aż wreszcie wszystko poczęło się zlewać w jedno i otoczyła go noc nieprzenikniona ..

Nagle zbudził go głos jakiś; to Juraś pochylił się nad nim, podając mu wodę mówił:

— Napij się waszmość, to cię ocuci...

Janusz pił chciwie chłodną wodę źródlaną i uczuł się znacznie pokrzepionym.

— Mam tu jeszcze trochę żywności — ozwał się Juraś. Jutro skoro świt puścimy się w drogę, a tymczasem tu przenocujemy.

— Ale powiedz mi, waszmość, zkąd ja się tu wziąłem w tym lesie? — spytał Janusz, który posiliwszy się zaczął odzyskiwać siły.

— Kiedy zostałeś ranionym w czasie objazdu, pan Struś kazał cię odwieźć do najbliższego sioła lub futoru i na mnie przypadł ten obowiązek. Po drodze wilcy nas napadły i poszarpały mi konia, tak, że dalszą podróż musimy odbywać pieszo. Dlatego waszmość wypocznij dobrze abyś do jutra nabrał dość siły.

To mówiąc, poszedł nazbierać jeszcze suchych gałęzi, aby podsycić ognisko, poczem legł na trawie i wkrótce zasnął znużony dziennemi trudami.

Janusz nie mógł zasnąć tak prędko; począł rozmyślać nad tem co usłyszał, a przytem wciąż mu się zdawało, że postać i głos mówiącego są mu znajome.

— Jutro się przekonam lepiej — rzekł sobie w końcu.

Poważny szum drzew począł i jego kołysać do snu chociaż ów nocleg na gołej ziemi nie był zbyt wygodnym, a nocna rosa przenikała chłodem.

Nazajutrz zbudził się bardzo wcześnie. Świtało; opalowy blask przenikał przez gałęzie, ptactwo budziło się i zaczęło się odzywać tu i owdzie, wszędzie na trawie widniała biała rosa.

Przez polankę przemknął zając, a po jego przejściu pozostał ślad ciemny na zroszonej murawie. W lesie panował chłód poranny i Janusz czekał z upragnieniem ukazania się słońca. Jakoż niedługo pierwsze jego promienie zabłysły z boku przez gałęzie i natychmiast szczebiot ptasi rozległ się ze wszystkich stron. Juraś zbudził się także i porwał na nogi; Janusz popatrzył na niego z pewną zazdrością, był rzeźwy i wypoczęty, jak gdyby noc spędził na najwygodniejszem posłaniu.

— No — rzekł, spojrzawszy na niebo — trzeba nam teraz w drogę. Czy waszmość czujesz się dziś na siłach?

Janusz podniósł się z ziemi i zrobił parę kroków. Co prawda nie czuł się jeszcze na siłach, ale wstydził się do tego przyznać, rzekł więc tylko.

— Owszem, zdaje mi się, że będę mógł iść, zresztą wieś pewnie niedaleko.

Juraś uśmiechnął się lekko.

— Niewiem czy wieś jest blizko, może trzeba będzie jeszcze iść kilka godzin, a waszmość nie wydajesz się tak bardzo silnym...

Janusz spojrzał uważnie na mówiącego i teraz dopiero go poznał. Przyszło mu też na myśl, że może on zechce się teraz zemścić za jego niegdyś z nim obejście, natrząsając się nad jego słabością... To go ubodło i natychmiast podniósł dumnie głowę, mówiąc:

— Nie troszczcie się o mnie, nie zbraknie mi siły by dojść do wsi. Kiedy mamy iść, to idźmy.

— A idźmy, jeśli waszmość chcesz.

Słońce tymczasem zaszło już zupełnie i cały las zajaśniał gwarem ptaków; zięby, sikory, wilgi śpiewały chórem. Rosa kroplami wisiała na gałęziach, za każdem ich poruszeniem spadając deszczem na drogę.

Janusz uszedł zaledwie dwadzieścia kroków, kiedy już pot mu wystąpił na czoło i musiał usiąść by wypocząć nieco.

— Może waszmość pozwolisz abym cię przynajmniej wspierał? — rzekł Juraś, który uczuł pewną litość na ten widok.

— Dziękuję, nie jestem znów tak słabym, jak się wam zdaje — odrzekł Janusz, któremu wciąż się wyobrażało, że Juraś chce go upokorzyć, wytykając mu jego niedołęztwo.

— Ach, tak, zapomniałem o tem, że dla waszmości może nie być miłą usługa od człowieka niższej kondycyi — rzekł z goryczą w głosie.

I szli już dalej w milczeniu aż dokąd Janusz, którego tylko miłość własna utrzymywała na nogach, nie padł w końcu ze znużenia przy drodze. Teraz był zmuszony przyjąć ramię Jurasia do oparcia gdyż przekonał się, że sam jeszcze iść nie mógł.

— To z mego powodu jesteście pozbawieni tej przyjemności. Ale bądź spokojny, ojciec mój hojnie wynagrodzi cię za to.

Na te słowa Juraś spojrzał na Janusza i pokiwał głową na poły szyderczo a na poły smutno.

— Hej, paniczu wielmożny — rzekł w końcu — czyś ty nigdy nie pomyślał o tem, że bywają rzeczy, za które złotem się nie płaci?

Było to tak niespodziewanem dla Janusza, że się zmieszał i nie wiedział co ma odrzec, Juraś zaś ciągnął dalej, patrząc nań wciąż dziwnym wzrokiem:

— Nie rozumiesz mnie, a przecież tyś słyszał zapewne o krzywdzie, którą mi twój wuj wyrządził? Ten, co ojca zastępował mnie, sierocie, został zabity na jego rozkaz, a jam także, z jego winy, bodaj czy nie stał się zabójcą i musiałem uciekać z rodzinnej chaty. I ot teraz, ja nędzny tułacz bezdomny i jeszcze może gdy twój wuj dowie się gdzie się znaj

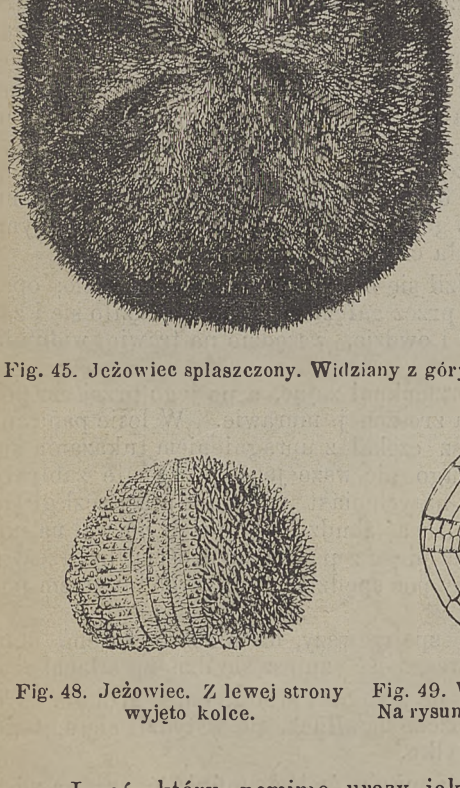

Fig. 45. Jeżowiec splaszczony. Widziany z góry.

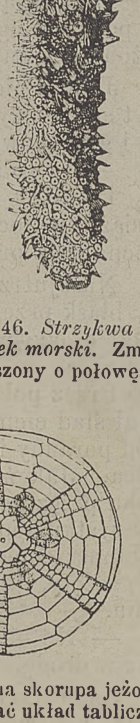

Fig. 46. *Strzykwa* czyli *ogórek morski.* Zmniejszony o połowę.

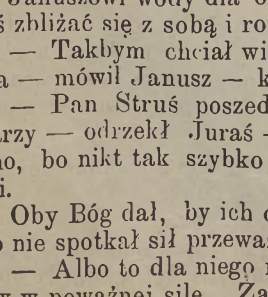

Fig. 48. Jeżowiec. Z lewej strony wyjęto kolce.

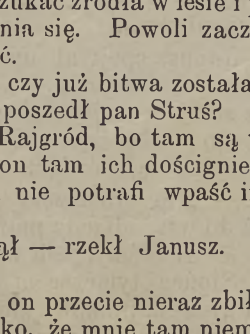

Fig. 49. Wapienna skorupa jeżowca. Na rysunku widać układ tabliczek.

Fig. 47. *Strzykwa* przezroczysta, *kotwicznik*, żyjący w morzach europejskich. Wielkość naturalna.

Juraś, który pomimo urazy jaką żywił dla Janusza, czuł teraz mimowolne współczucie dla jego bezsilności, podpierał troskliwie jego kroki chwiejne i starał się mu ulżyć, jak mógł. Od czasu do czasu musieli się zatrzymywać dla wypoczynku; wtedy Juraś szedł poszukać źródła w lesie i przynosił Januszowi wody dla orzeźwienia się. Powoli zaczynali jakoś zbliżać się z sobą i rozmawiać.

— Takbym chciał wiedzieć, czy już bitwa została stoczona — mówił Janusz — którędy poszedł pan Struś?

— Pan Struś poszedł pod Rajgród, bo tam są teraz Tatarzy — odrzekł Juraś — już on tam ich doścignie napewno, bo nikt tak szybko jak on nie potrafi wpaść im na karki.

Oby Bóg dał, by ich doścignął — rzekł Janusz. Byle tylko nie spotkał sił przeważnych.

— Albo to dla niego nowina, on przecie nieraz zbił Tatarów w poważnej sile. Żałuję tylko, że mnie tam niema — rzekł Juraś z westchnieniem.

duję, zechce i mnie ścigać za to, żem mu zabił podstarościego?

To mówiąc, Juraś spojrzał na Janusza prawie wyzywająco, poczem mówił dalej:

— No i tobie się zdawało, że człowiek, któremu twoi wszystko zabrali, ratował cię dla nagrody, dla pieniędzy? Toś źle bardzo myślał o ludziach, paniczu wielmożny.

— Nie wiem naprzód, dlaczego mnie obwiniasz o to, co mój wuj uczynił, bo ja przecież nie brałem w tem wcale udziału — rzekł Janusz. A przytem wiedz to, że wuj mój bynajmniej nie jest winien w tej sprawie i że wszystko to stało się bez jego woli i rozkazu, czego dowodem, że owego podstarościego, któregoś ty zranił, zaraz od siebie wypędził. A więc nie miejże i do mnie niechęci za to, co się stało.

Juraś słuchał go ukrywszy twarz w dłoniach i tak siedział czas jakiś bez słowa i bez ruchu. Nastało długie milczenie, wśród którego tylko szum lasu słyszeć się dawał, oraz głosy ptaków, szczebiocących na gałęziach dębu, pod

którym spoczywali obaj młodzieńcy. Wreszcie Juraś odjął ręce od twarzy i rzekł patrząc na Janusza:

— Nie, teraz już nie czuję żalu do waszmości, bo widzę żeś nie takim już jak dawniej byłeś.

Południe wreszcie nadeszło i słońce zaczęło już na dobro przypiekać, chociaż to było w lesie. Janusz omdlewał ze znużenia i zaledwie się wlókł; straszne pragnienie wciąż go paliło, czuł ogień w żyłach, a tu dotąd jeszcze żadnej siedziby ludzkiej widać nie było.

— O, gdyby jaki wóz chłopski nadjechał i chciał mię zabrać — mówił Janusz z westchnieniem — czuję, że już wkrótce iść nie będę w stanie.

— Odwagi — zachęcał Juraś, wspierając go silnie ra-

— Bogu dzięki — zawołał Juraś z radością. Słyszysz waszmość, pies szczeka, z pewnością tam w głębi jaru znajduje się futor.

Odgłos ten, zwiastujący kres ciężkiej wędrówki, dodał sił Januszowi, kroki jego stały się nieco pewniejsze, zresztą Juraś wspierał go, jak mógł, choć sam był znużony jednakże nie przestawał zachęcać towarzysza mówiąc wesoło:

— Ciesz się waszmość, już futor niedaleko; gdyż widzę dym, wznoszący się ponad drzewa. Z pewnością przyjmą nas tam gościnnie, a przedewszystkiem znajdziemy tam wodę i będziesz wógł zaspokoić pragnienie.

Skoro zeszli na dół, ujrzeli niżej dzikie i skaliste ściany jaru, porosłe gęstwiną głogów, tarnin i dereni. Leśny bluszcz

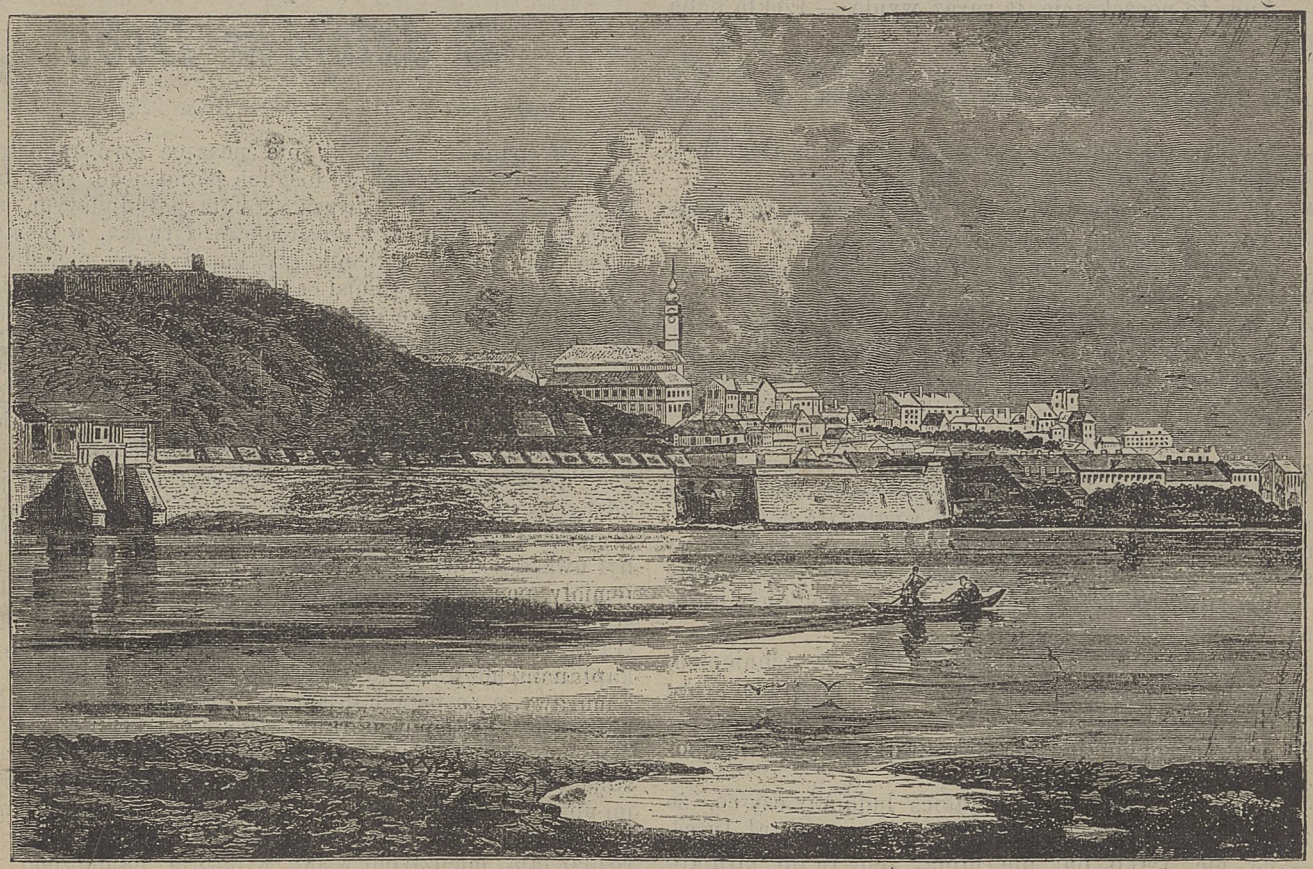

Belgrad.

mieniem — jestem pewny, że niedługo napotkamy jakiś futor, bo zdaje mi się, że droga się zniża i zaprowadzi nas do jaru.

— Tak, ale może jeszcze trzeba będzie iść ze dwie godziny — rzekł Janusz zniechęconym głosem — lepiejbyś zrobił gdybyś mię zostawił tu w lesie, bo jestem dla ciebie ciężarem...

— Ech, lepiej nie traćmy słów daremnie — rzekł Juraś — przebyłeś waszmość tyle drogi, to jeszcze i ten kawałek przejdziesz. Chodźmy!

To mówiąc podniósł Janusza z ziemi i począł go znów prowadzić, prawie nawpół go niosąc.

W istocie; tak jak przewidział, droga poczęła zstępować na dół i wreszcie ukazał się jar dość głęboki, na dnie którego dało się słyszeć szczekanie psa. Droga zamieniła się w wązką bardzo drożynę.

gdzieniegdzie porastał skały, tworząc zieloną zasłonę, na samem dnie połyskiwała woda. Wreszcie dostrzegli małą chatkę przytuloną de skały; była sklecona z ociosanych bierwion i osłonięta z jednej strony wielkim występem skalnym. Jeden olbrzymi głaz wisiał w górze ponad jej dachem i zdawało się, że lada chwila urwie się i zgniecie ją. Duży, rudy kundel z uciętym ogonem, uwiązany na łańcuchu, wybiegł, szczekając naprzeciwko młodzieńcom ale nie mógł ich dosięgnąć, na progu zaś chaty ukazała się stara kobieta, która na widok podróżnych zatrzasnęła drzwi coprędzej.

— Ot, wdzisz jak nas gościnnie przyjmują — rzekł Janusz do Jurasia.

W tejże chwili w małem okienku ukazała się głowa baby, która krzyknęła do nich głosem szorstkim i grubym.

— Coście wy za jedni? Gadajcie, pocoście przyszli inaczej puszczę na was Brysia!

— Myśmy żołnierze — ozwał się Juraś — mój towarzysz ranny, chcieliśmy was prosić o kroplę wody i o odpoczynek w waszej chacie, bośmy okrutnie zmęczeni.

Baba zrazu nie odpowiedziała słychać było tylko jak mruczała do siebie:

— Wszędzie się te żołnierzyska włóczą!

— Kto was wie, a może wy na zwiady przyszli — ozwała się podejrzliwie po chwili.

— Pierwszy raz jesteśmy w tem miejscu — rzekł Janusz.

— Co tam długo gadać — zawołał nagle Juraś — otwieraj babo, bo sami sobie otworzymy!

— Oho, sprobójcie — ozwała się baba z chaty, albo to ja nie mam tutaj rusznicy? Patrzcie jacy mi tu przyszli rozkazywać!

— Słuchaj babo, daj nam wody i kawałek chleba i pozwól nam odpocząć na przyzbie, a zapłacimy i pójdziemy sobie spokojnie — rzekł Janusz.

— Ano, to poczekajcie, ja zaraz wyjdę — rzekła baba po chwili.

I rzeczywiście, niedługo otworzyły się drzwi i ukazała się w nich ta sama baba z bochenkiem chleba i dzbankiem w ręku.

— No macie, zjedzcie, wypocznijcie i idźcie z Bogiem — rzekła podając im jedno i drugie.

A gdy wygłodzeni chłopcy zabrali się do posiłku stanęła z boku patrząc na nich i kiwając głową.

— Ot, takie to młode — rzekła jakby udobruchana nieco. A zdaleka idziecie.

— Od wczoraj jesteśmy w drodze — rzekł Juraś.

— A tamten drugi to musi być jakieś paniątko — mówiła baba, wskazując na Janusza. Tak mu z oczu patrzy jakoś.

— Cóż, synki, pożywiliście się — zapytała go, gdy obaj zjadłszy posiłek, spoczywali na przyzbie. W twarzy jej nie widać było już poprzedniej szorstkości, owszem złagodniała znacznie, chociaż cała postać jej zawsze wyglądała dość dziko. Była ubrana w kożuszek barani bez rękawów i w krótką podartą spódnicę; z pod chustki wymykały się siwiejące włosy. Twarz miała kościstą, zczerniałą jak ziemia, ręce duże i muskularne.

— Bo widzicie — ozwała się po chwili z westchnieniem — jabym wam nie broniła i przenocować, ale może moi synowie nie byliby temu radzi...

To mówiąc oglądała się na wszystkie strony niespokojnie.

— A cóż to, wasi synowie jakieś ludojady czy co, że chrześcijan nie chcą przyjąć pod swój dach? — zapytał Juraś.

— Ej, nie, tylko oni nie lubią, żeby tu do jaru kto z obcych przychodził.

(d. c. n.)

BELGRAD.

Jakiż to zbrojny zamek spogląda z góry na olbrzymie zwierciadło wody, u stóp swoich szeroko płynącej?

To prastara twierdza, stojąca od wieków na straży serbskiej stolicy, Belgradu,

Mętna rzeka Sawa, która tam właśnie łączy się z Dunajem, zdaje się szmerem swoich nurtów rozmawiać ze starym towarzyszem o dawno minionych czasach, kiedy to na wiele wieków przedtem zanim Turcy przezwali to miasto Bilgradem, a Niemcy Weissenburgiem, już za czasów rzymskich istniała osada, zwana Singidunum, która przeszła następnie pod władzę cesarstwa bizantyjskiego.

Trudno byłoby zawrzeć w tak szczupłych ramach smutne koleje losów, jakim ulegał Belgrad, począwszy od swego powstania, aż do r. 1739, kiedy na mocy traktatu, zawartego pomiędzy Austryą i Turcyą, za granicę posiadłości otomańskich naznaczono Dunaj i Sawę, dość powiedzieć, że w ciągu zażartych sąsiedzkich wojen po kilka razy niemal z ziemią zrównanym został.

W dzisiejszem swojem położeniu Belgrad niczem się nie różni od innych miast europejskich. Posiada świątynie wszelkich wyznań, piękne gmachy rządowe i prywatne, akademię wojskową oraz inne tak wyższe jako też i niższe zakłady naukowe.

Liczba mieszkańców, pomiędzy któremi znajduje się bardzo wielu cudzoziemców, wynosi około stu tysięcy.

Z dziejów Dębu.

Wspaniałe to drzewo nie znoszące zarówno ostrego zimna krajów zbliżonych do bieguna północnego, jako też zbytecznych upałów właściwych strefom południowym, znanem było w najodleglejszych czasach starożytności, w pismach bowiem wiarogodnych kronikarzy napotykamy niejednokrotną wzmiankę, iż najdawniejsi osadnicy późniejszej Grecyi, żywili się żołędziami, owocem dębu. Najdłużej zwyczaj ten zachował się w Arkadyi, zkąd też inni mieszkańcy Hellady, którzy już używali na pokarm roślin zbożowych, nazywali ich Balanofagami, czyli zjadaczami żołędzi. Pierwotni Rzymianie używali również tych owoców, jako mąki zmięszanej z jęczmienną, z której wypiekano rodzaj ciasta.

Dąb zapewne z powodu wspaniałości wyglądu jaką się odznacza wposród innych drzew leśnych, był poświęcony przez Greków i Rzymian piorunowładcy, Jowiszowi, u Gallów zaś był uważanym za drzewo święte, z powodu rosnącej na nim jemioły, pasożytnej rośliny, we czci szczególnej u nich pozostającej. O tem zbieraniu jemioły, tak mówi w swoim opisie Galii, Juliusz Cezar: „Lud licznie zebrany z druidami, to jest kapłanami udaje się do lasów, wystawia tam trójkątne ołtarze z murawy, a na pniach drzew wyrzyna imiona bogów. Następnie jeden z kapłanów ubrany w białą tunikę wchodzi na dąb i nożem złotym obcina gałęzie jemioły, które inni druidowie stojący pod drzewem zbierają na rozpostarte płótno, nie dając im upaść na ziemię. Po tej uroczystości zabijają ofiary na cześć bogów, dla uproszenia ich błogosławieństwa. W końcu rozdzielają między lud wodę, w której namoczono poprzednio jemiołę, bo przypisują jej różne cudowne własności.

Uczony Rzymianin, Pliniusz, żyjący za czasów Wespazyana, pozostawił w dziele swem „Historia naturalis", zajmujące wspomnienia o dębach napotykanych przez niego w różnych miejscowościach. Jeden z takowych miał się znajdować w okolicach Tusculum, w gaju poświęconym bogini Dianie; pień jego miał podobno 34 stopy obwodu, gałęzie zaś tak były grube i gęste, że już same z siebie tworzyły rodzaj małego lasku.

Inny dąb, rosnący na Watykanie za czasów Pliniusza, posiadał na blasze napis w języku etruskim, świadczący o istnieniu swojem jeszcze w epoce sięgającej założenia Rzymu. Dalej opisuje on jeszcze inne dwa dęby, ocieniające ołtarz Jowisza w Heraklei, w dawnem królestwie Pontu, zasadzone według tamecznej tradycyi przez półboga Herkulesa.

Około roku 1515, we Francyi, za panowania Franciszka I-go, znajdował się dąb tak gruby, że król ten kazał zrobić naokoło niego taras, na którym wypoczywał znużywszy się na łowach.

Za Karola I-go, króla angielskiego, ścięto dąb tak ogromny, że wyrobiono z niego 4 belki na 44 stóp długie, mające każda średnicy 4 stopy i 9 cali, użyte do budowy okrętu.

Jeden z takich olbrzymich dębów, którego samo imię: Baublis, pochodzące od Bubilisa, bożka miodu, czczonego niegdyś od pogańskich Litwinów i Prusaków, wzrastał do roku 1812, wśród zielonego gaju na wzgórzu znajdującem się o 500 sążni od wsi Bordzie, w powiecie rosieńskim, o 6 mil na zachód od miasta Rosień. Dąb ten, według obliczenia biegłych botaników, liczył już lat 1000 z górą. Kres jego istnienia spowodował ogień przypadkowo powstały w pobliżu. Po wykopaniu ocalonego pnia z ziemi okazało się, iż tenże miał około sześciu łokci wysokości, obwodu zaś przeszło jedenaście.

Ówczesny dziedzic wsi wyżej wspomnionej, Teofil Paszkiewicz, kazał ten pień przenieść do ogrodu i wydobyć z niego rdzeń, pozostawiając ściany na cztery cale grube, w których następnie umieścił odpowiednie drzwi i okna. Tak przygotowany Baublis, nakryty zwierzchu daszkiem, od dołu zaś oparty na podmurowaniu, zamienionym został na wygodną altanę mogącą pomieścić 10 — 12 osób, a raczej gabinet archeologiczny, przeznaczony na zbiór pamiątek pogańskiej Litwy, oraz książek odnoszących się do tegoż samego przedmiotu. Na jednej ze ścian zewnętrznych p. Paszkiewicz umieścił marmurową tablicę z wierszowanym napisem, zalecającym przyszłym właścicielom Bordzów, poszanowanie zbiorów pomieszczonych w Baublisie. Ale ci prawdopodobnie mało zwracali uwagi na prośbę poprzednika, gdyż oddawna już Baublis przestał być stróżem owych cennych zabytków, pozostawszy jedynie oryginalną w swoim rodzaju altaną, z dużym stołem wpośrodku, obstawioną sześcioma krzesłami, całkiem swobodnie ustawionemi obok siebie.

Kończąc te kilka rysów dotyczących historyi dębu, nie godzi się pominąć i tego szczegółu, że wzrost tego drzewa bywa nadzwyczaj powolny, gdyż w setnym dopiero roku dochodzi niekiedy 12 do 18 cali średnicy.

Z pięknych jego liści splatano w starożytnym Rzymie wieńce obywatelskie, któremi zdobiono tylko tych, co albo już odnieśli jakieś zwycięztwo w sprawie publicznego dobra, albo też ocalili życie jakiemuś obywatelowi.

E L.

SERBSKA DZIEWCZYNA.

Powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu

przez

Teresę Jadwigę.

(Dokończenie).

— Błądzili nasi przodkowie, my pokutować musimy — mówiło wielu — taka nam dola za ojców grzechy przypadła i pokornie położenie swoje znosili.

— Bajazeta nikt nie pokona.

Lecz nie wszyscy tak sądzili. Tetera nie podbudzał synów do buntu, bo rozumiał, że sił trzeba wielkich, by Serbię z przemocy Turków wydobyć, a tych sił teraz nie było, ale ilekroć kto mówił przy nim, że Bajazet jest niezwyciężony, odpowiadał:

— Bóg potężniejszy od niego.

Przebyte cierpienia i niepokoje, niedola Serbii pochyliły znacznie ku starości tak Teterę, jak i jego żonę, żyli wszakże jeszcze chociaż już lat wiele ubiegło od bitwy, na polu kosowskiem stoczonej, ale wyglądali oboje, jak dogorywające lampy; cieszyli się już tylko widokiem swych dzieci i wnuków, pragnęli cieszyć się jeszcze nimi długo, bo im było dobrze wśród nich. Anka została żoną Milana, a mieszkając niedaleko odwiedzała ich często. Marko wprowadził pod ich dom trzecią synowę, bratowe żyły w zgodzie, wnuków przybywało, Stefan i Jurek już dorastali, wąs sypał się im codzień widoczniej, Jagoda była już śliczną dziewczyną. Dzieci i wnuki wiązali starych do życia, ale inna była przyczyna dla której Tetera nie chciał jeszcze umierać. Oto wierzył on w przyszłość, wierzył, że potężnego Bajazeta, sprawcę tylu nieszczęść czeka zguba... Gdy czasami, który ze starych przyjaciół zawitawszy do Sawicy, przy pożegnaniu mawiał do niego:

— Może więcej się nie spotkamy.

On marszczył czoło i odpowiadał:

— Ja nie zejdę z tej ziemi, póki nie zobaczę upokorzonym tego, który Serbię upokorzył.

Nie wierzono mu. Jak gdyby potężni upaść nie mogli.

Była to zima, wieczór wigilii Bożego Narodzenia, zwykle uroczyście u Słowian obchodzony. W Sawicy w ten dzień zebrała się cała rodzina. Gdy mrok zaległ ziemię, wedle zwyczaju, w wielkiej izbie rozpalono na kominie tak zwany bodniak, wielkie polano drzewa, polecono dziatwie pilnować ognia, by nie zagasł przed końcem uroczystości, niewiasty przykryły białym, jak śnieg obrusem, stół stojący w pośrodku izby, położyły na nim bogowicę *), postawiły misę z gotowaną pszenicą, miodem okraszoną, soczewicę, oraz inne przysmaki, a gdy wszystko było gotowe, zaprosiły rodziców na ucztę.

— Czy nikogo już nie brak? — zapytał Tetera.

— Marka jeszcze nie ma — odparła nieśmiało najmłodsza synowa.

— Trzeba zaczekać na niego — zadecydował Tetera — jeśli się spóźnia, musi mieć ważny powód; nadto on nas szanuje, by dla błahej przyczyny nie stawił się na czas.. Niechaj która z dziewcząt zanuci nam jaką piosnkę, godzina wyczekiwania prędzej przeleci.

Życzenie dziadka było tutaj rozkazem, Jagoda stanęła obok komina i śpiewać poczęła:

Zima upłynie
Serduszko moje.
Wiosna przybędzie,
Ptaki zaśpiewają,
Serduszko moje,
Lasy się zamają
Serduszko moje,
Pocieszą się smutni,
Osuszą łzy gorzkie
Serduszko moje...
. . . . . .

Głos jej dźwięczny mile wpadał w ucho każdemu, dobre słowa, dobre uczucia budziły w sercach, zasłuchali się wszyscy, a słuchając roili o wiośnie, wtem coś zaskrzypiało za oknami,

— Marko! — wykrzyknęła najmłodsza synowa i wybiegła z izby, niebawem wróciła, wiodąc męża

— Cóżeś się tak spóźnił, czyś zapomniał o wigilii? — zapytał go Tetera, z odcieniem lekkiej nagany.

— Nie zapomniałem ojcze — odparł Marko, kłaniając się do nóg ojcu — lecz w drodze spotkałem sąsiadów, którzy mi radosnej nowiny udzielili, a chciałem ją przynieść do domu.

— Cóż to za nowina? — ozwały się ztąd i zowąd głosy.

— Słyszeliście już o Tamerlanie, chanie tatarskim — rzekł w odpowiedzi Marek.

— Nie przekręcaj jego nazwiska — odezwał się Tetera — zwie się on Timur Lenk, czyli Timur kulawy; straszny to człowiek, syn jednego z pomniejszych chanów tatarskich, urodził się podobno z kawałkami krwi zapiekłej w dłoni, jak gdyby na przepowiednię, że pod jego ręką świat całą krwią spłynie; z nic nieznaczącego władcy, wyrósł na potężnego chana Złotej hordy, podboje swoje rozszerzył od morza Kaspijskiego aż do granic Mandżuryi; w Belgradzie wybudował wieżę z 99,000 czaszek ludzkich, to potwór, drży przed nim cała Azya.

*) Bogowica, rodzaj strucli.

— A teraz na naszą pociechę ten potwór, ten żelazny kolos poraził naszego gnębiciela — rzekł Marko.

— Kogo? — wykrzyknęli jego bracia i Milan, porywając się z ławy.

— Bajazeta — odparł Marko — dwóch tych ludzi znieść siebie nie mogło, wypowiedzieli sobie wojnę, spotkali się pod Angorą i Bajazet nietylko jest rozbity, lecz dostał się do niewoli.

Ze wszystkich ust wyrwał się jeden okrzyk.

— Bajazet w niewoli!

— Czy to tylko prawda? —pytali bracia.

— Jak najpewniejsza? — odpowiedział Marko.

Dzieci klaskały w ręce, skakały po izbie.

— Bajazet w niewoli! — powtarzały — dobrze mu tak, on tylu naszych zabrał w niewolę.

Starzy rodzice tylko milczeli, twarze ich wyrażały poważne zamyślenie, a gdy młodzież się uciszyła, wówczas ozwał się Tetera:

— Bóg gnębicielowi wymierzył sprawiedliwość, doczekałem tego dnia, umrzeć mogę.

— Teraz powinieneś chcieć żyć jak najdłużej — odparł Wojda — teraz ufać możemy, że lada dzień błyśnie słońce nad Serbią.

— Nie tak rychło jeszcze — szepnęła Maryca.

Tetera chciał coś mówić, lecz w tej chwili niewiasty wniosły misy z gorącem jadłem, więc obsiedli stół wokół i dopytując Marka o szczegóły bitwy pod Angorą, jedli wesoło. Kiedy powstali od stołu, Tetera uścisnął czulej niż zwykle każde z dzieci i wnucząt, poczem rzekł głosem wzruszonym:

Matka ma słuszność, nie tak rychło jeszcze zaświeci słońce nad Serbią, niechaj wszakże to przekonanie nie odbiera wam otuchy, wierzcie w przyszłość, tę wiarę ryjcie w sercach waszych, niechaj przyświeca wam ona zawsze, rozniećcie ją w sercach synów i wnuków waszych, gdyż z dniem, w którym wiara ta zgaśnie w sercach Serbów, Serbia umrze i nie zmartwychwstanie więcej.

To rzekłszy, oddalił się na spoczynek wraz z Marycą. Po ich odejściu jakiś dziwny smutek owionął młodych.

— Czyście uważali, jak się ojciec dziwnie zmienił — odezwała się Anka.

Nikt jej na to nie odpowiedział, zauważyli toż samo wszyscy, lecz mówić o tem nie chcieli, rozeszli się w milczeniu. Nazajutrz głośne jęki i płacze niewiast zbudziły Wojdę, Miłosza i Marka, porwali się z posłania i gnani złem przeczuciem, wpadli do izby ojca; stary leżał na swem łożu, cichy, nieruchomy, lecz z pogodnem uśmiechem na twarzy, u stóp jego klęczała Maryca nieruchoma, jak on, z rękoma splecionemi, niewiasty i dzieci zawodziły głośno i łzy ocierały.

— Nie kłóćcie ojcu spokoju śmierci — ozwał się Marko wszedłszy pomiędzy szlochające — odprowadzę matkę do jej alkierza, zajmijcie się nią, my o pogrzebie pomyślimy.

To rzekłszy, zbliżył się do klęczącej i pochyliwszy się ku niej, rękę jej ujął; nagle drgnął, ręka Marycy była zimną, jak lód.

— Więc i ona — szepnął, poczem dodał: — Wola Twoja Panie, wziął na ramiona matkę i złożył ją na ławie w izbie się znajdującej.

— Módlmy się, żeby Bóg miłosierny dał nam tak dobrą śmierć, jak tym dwojgu dał — rzekł, zwróciwszy się do bra — zasłużyli w istocie całem życiem na tę nagrodę; umrze każdy musi, lecz jak niewielu umiera cicho, bez cierpień, d czekawszy wieści szczęśliwej.

Płacze i jęki ustały, wszyscy w okół poklękali i modl się poczęli.

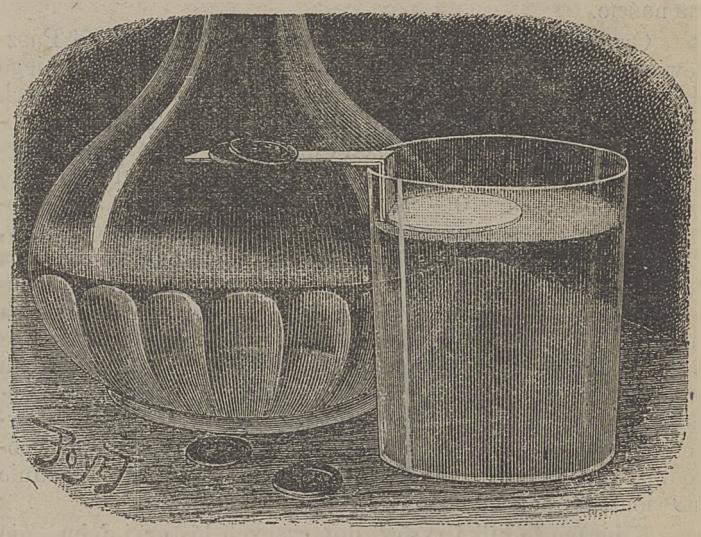

Przyleganie do powierzchni płynów.

Wykrajmy z grubego brystolu lub cienkiej blachy, pase długi na kilka centymetrów, który z jednego końca zamyk kółko wielkości trzech kopiejek, i zegnijmy go w dwóch mie scach pod kątem prostym, nadając mu kształt mularski kielni, to jest, aby pierwsze zagięcie wypadało przy samy kółku, drugie na pół cm. wyżej, w kierunku przeciwny pierwszemu Jeżeli taki przyrząd położymy na brzegu pust szklanki, możemy w nim odnaleźć tak dokładny punkt ciężk ści, że oba końce papieru zostaną w zupełnej równowa którą najdrobniejszy nawet przedmiot naruszyć może. jednak ostrożnie do szklanki nalejemy tyle wody, aby krąże brystolu dotykał jej powierzchni, możemy na drugi konie przyrządu położyć kilka nawet monet, a kółko pozostanie n wodzie jakby siłą magnetyczną trzymane, tak, że zdumie będziemy ilością ciężaru, która go ostatecznie zmusi do zmi ny położenia. Zjawisko to, nazwane przyleganiem, bada fizycy w swych pracowniach za pomocą różnych przyrządó lecz żaden z nich, możemy zapewnić, nie jest tak prosty i łatwym w zastosowaniu, jak właśnie ten, który nam wskaz je powyższa rycina.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Gryf wiersz (z ryc.). — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Odzyskany, powieść przez Maryę Łopuszańską.— Belgrad (z ryc.) — Z dziejów dębu przez E. L. — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu przez Tere Jadwigę (dokończenie). — Przyleganie do powierzchni płynów (z ryc.) — **Dodatek**: Nad morzem przez Z. (z ryc.) — Niewczesn pycha, wiersz M. Z. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówki, rozwiązania. — Skrzynka d listów. — **Dodatek książkowy**: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 9 Сентября 1896 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

NAD MORZEM.

— Ach, gdyby to można zawsze tak siedzieć nad morzem, jakby to dobrze było! — rzekł Staś, wyciągając się na piasku.

— Rozumie się, że byłoby to bardzo przyjemnie! — odpowiedział Antoś grzebiąc łopatką.

— Możnaby zbudować miasto — dodał — i począł zaraz rozkopywać piasek.

— Czekaj; zbudujemy warownię! usypiemy wał, na wzgórzu będzie zamek, a dokoła woda! — mówił poważnie Staś. I zerwawszy się począł towarzyszowi pomagać. Robota szła prędko, usypali wielką górę i na samym czubku zatknęli kijek z chorągiewką z czerwonego papieru, to miał być zamek.

Potem usypane wzgórze obłożyli muszelkami, które w piasku znaleźli. Nareszcie dokoła wykopali rów, tuż przy rowie wielki wał, słowem zrobili warownią.

— Wiesz co — rzekł Staś — gdy przyjdzie Józio, Kazio, Wojtuś i ci dwaj co się z nami wczoraj bawili, niech zdobędą naszą twierdzę.

— Wybornie, im się zdaje, że to tak łatwo, oni już wczoraj opowiadali, że niejedną twierdzę nad morzem zdobyli. Oho, ale to z pewnością nie była tak doskonale zbudowana, jak nasza! — rzekł Antoś, obchodząc dokoła usypany wzgórek. Wtem nagle zawołał:

— Stasiu, patrz, co ja znalazłem?

— Ach, jaki prześliczny bursztyn! — wołał Staś z podziwem.

— Bursztyn, doprawdy bursztyn? — zapytał Antoś z niedowierzaniem.

— Ale z pewnością, przecież już drugi raz jestem nad morzem, znam się na takich rzeczach! — odparł Staś, przyglądając się maleńkiemu przezroczystemu, ciemnożółtemu kamykowi, który Antoś ocierał z piasku.

— Patrz, w tym bursztynie siedzi muszelka, zupełnie jak żywa, jak ona mogła wejść w taki kamień? — dziwił się Antoś, oglądając skarb znaleziony.

— Bursztyn, to nie kamień — odparł Staś, szukając w piasku czy i jemu nie zdarzy się znaleźć choćby kawałek bursztynu.

— Nie kamień, prawda była! — mówił niedowierzająco Antoś.

— Rozumie się, że nie, tylko część rośliny skamieniałej.

— Eh, mój Stasiu, tobie się zdaje, że ja ci zaraz uwierzę, widzę przecież, że to jest kamień!

— Chcesz, wierz; nie, to nie. Ja wierzę i wiem, co to jest, bo mi mama opowiadała, a nawet o bursztynach czytałem w jakiejś książce.

— No, to powiedz, powiedz, jeżeliś taki mądry — rzekł Antoś, siadając na piasku.

Staś zmęczony szukaniem usiadł obok towarzysza i rzekł:

— Mama mówiła, że bursztyn powstaje z odłamów drzewa iglastego, takiego, w którym się znajduje dużo żywicy...

— Eh, drzewo, to drzewo; przecież drzewo nie jest przezroczyste — przerwał Antoś.

— Rozumie się, że drzewo dopóki rośnie, a nawet i ścięte nie jest przezroczyste, ale to drzewo, z którego powstał bursztyn przed tysiącami lat, podczas trzęsienia ziemi, zostało spalone, potem morze przypływając odłamy tego drzewa zabrało i ukryło na samem dnie bardzo

głęboko. I znów tam te kawałki w głębi morza leżały długo, bardzo długo, kilkaset a może i kilka tysięcy lat; woda je myła i płukała, aż nareszcie wypłukała wszystek miąsz drzewa, zostawiła żywicę a razem z nią i tę biedną muszlę, która prawdopodobnie w chwili, gdy woda zabierała odłamki drzewa, schroniła się w jakąś szczelinę owego odłamka...

— Jeżeli to prawda co ty mi mówisz—rzekł Antoś— to ten bursztyn musi być bardzo stary.

— Rozumie się, że bardzo stary, a gdyby umiał mówić, opowiedziałby nam bardzo ciekawe rzeczy.

— Opowiedziałby nam, jak to było na świecie wtedy, kiedy był drzewem, a potem jak ukrył muszelkę — jak ziemia się trzęsła, jak go morze zabrało, potem znowu co widział na dnie morza — przerwał Antoś, przypatrując się z coraz większem zajęciem znalezionemu kawałkowi bursztynu.

— A czy to w każdym kawałku bursztynu jest taka muszelka? — zapytał nagle.

— Ale gdzież tam, takie kawałki z muszelką niekiedy się tylko trafiają, są też daleko droższe i bardzo poszukiwane...

— Ach — przerwał znów Antoś — to ja ten kawałek daruję mamie, mama sobie z niego każe zrobić broszkę!

— Pewnie, że każe, ale trzeba ci wiedzieć, że nim z niego zrobią broszkę, to trzeba go oszlifować. Ale zawsze znalazłeś bursztyn, jaki się nie łatwo zdarzy! — mówił Staś. — Chciałbym i ja chociaż maleńki kawałek znaleźć! choć...

— Oj, oj! woda, woda! — zawołał nagle, nie kończąc rozpoczętego wyrazu.

I chłopcy zaczęli uciekać. A morze ich goniło. Coraz dalej wyrzucało swoje spienione fale na suchy przed chwilą piasek, i coraz więcej zajmowało lądu.

— Morze przypływa, morze przypływa! — wołano dokoła, a nasi chłopcy zaledwie zdążyli uciec, unosząc skarb znaleziony.

Nie mogli jednak ochronić zbudowanego zamku. Twierdzę tak silnie, według nich wzniesioną, zalało morze zupełnie, ani śladu po niej nie zostało.

— No, wierzę teraz, że woda może zabrać kawałki drzewa, jeżeli zniszczyła nasz zamek! — rzekł, śmiejąc się Antoś.

— To nic, że zabrała twierdzę, bo ona była tylko z piasku, ale porwała łódkę żaglową, przymocowaną do mostu żelaznym łańcuchem. Patrz, jak ją już daleko uniosła — mówił Staś, wskazując w dali łódź walczącą ze wzburzonemi falami.

Z.

NIEWCZESNA PYCHA.

Ten w obroży niebieskiej,
Tamten w pięknym czapraku,
Spotkały się dwa pieski,
I rzekł jeden: — Mój psiaku,
Cóż tam słychać u ciebie,
Bom nie widział cię dawno?
— Każdy panem dla siebie,
Z gniewem i wzgardą jawną

Czaprakowy odpowie:
Odkąd chodzę w kubraku,
Wstręt mam, gdy mię kto zowie
Tak pospolicie: psiaku!

Na to pierwszy z uśmiechem:
— Folguj w pychy zapędzie,
Kto bez czapraka psiakiem,
Ten i w kurtce psem będzie.

A. Z.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Dobrze, a ja chcę wiedzieć, czy to nie są te dzieci, które ich wuj i ja chcemy odzyskać. To krewny ich ten człowiek i ma prawo robić z niemi, co mu się podoba, bo nikogo innego nie mają.

— Zostaw nas w pokoju, tam powóz mój na mnie czeka...

— Powóz niech sobie czeka, ale i mer stąd niedaleko. Przyśle on tu żandarmów do tych przybyszów, którzy zabierają cudze dzieci.

— Ależ, nakoniec czego chcesz od tych dzieci?

— Ich wuj i ja chcemy je wziąć do siebie.

— Po co?

— Żeby były u nas na służbie.

— Służba musiała być ciężką, więc ją rzuciły.

— Ach! to są próżniaki, popsute przez rodziców, którzy także byli nic dobrego ..

— Kłamiesz — zawołała Melcia.

— Aha! więc to są one! To był głos Iwonka, a to Melcia, poznaję ją mimo tych pięknych strojów... No, chodźcie za mną... Naszukaliśmy się was, niegodziwcy. Iwona weźmie wuj, a ja zatrzymam ciebie, moja panno...

I karczmarka posunęła się, by pochwycić Melcię, kiedy Andeo stanął przed nią i odepchnął ją z taką siłą, że cofnęła się o parę kroków.

— Hola, Brunonie, na pomoc! Tu rozbijają kobiety. Chodź pomóż mi odebrać małych Derrienów!

— Czy jest mer w tej wsi? — zapytał pan Dumany, zbliżającego się powoli rybaka.

— Tak, panie.

— Zaprowadź nas do niego.

— Czy pan Mallassis jest zawsze merem? — zapytał Andeo.

— Tak, panie.

— No, to chodźmy!

— Ale ja was nie puszczę — zawołała ze złością

karczmarka — a ty włóczęgo, będziesz nocowała dziś u mnie z rozkazu pana mera!

— Ach, panie, czy to prawda — rzekła Melcia z płaczem.

— Daję ci słowo honoru, że cię zabiorę z sobą. Nie bój się tej baby, ona nie ma do ciebie żadnego prawa...

Po półgodzinnej drodze dotarli do wsi.

Andeo bez wahania wszedł do największego domu, gdzie w dużym pokoju siedział staruszek z dziennikiem w ręku.

— Ach, to pan, panie Andeo — rzekł podnosząc głowę — mój siostrzeniec będzie bardzo żałował, że stracił jego wizytę. Cóż pana do mnie sprowadza?

Karczmarka, zniecierpliwiona trochę, że mer znał tych państwa, zaczęła mówić prędko:

— To są właśnie ludzie, którzy porwali małych Derrienów, pan mer wie, te dzieci rybaków, o których myślano, że utonęli, a tymczasem oni sobie hulają. Ich wuj, który niedaleko stąd mieszka, jeden ma do nich prawo i chce je odebrać.

— Te dzieci są pod opieką pana Dumany, członka rady zarządzającej tego departamentu — odparł Andeo.

— A więc jakim prawem mieszasz się do nich pani karczmarko? — rzekł mer. — To zwyczaj twój zawsze wtrącać się w cudze interesa...

— Ależ, proszę pana mera...

— Dosyć tego! pan Andeo de Kerdrenc, dawny mój znajomy, jest przyjacielem opiekuna tych dzieci pana Dumany, zaszczytnie znanego w okolicy. Taka opieka jest dla tych sierot najkorzystniejszą, oddaję więc je panu Dumany i proszę tylko o przysyłanie mi corocznie wiadomości o nich. Pani karczmarka może się już oddalić.

— Ależ panie merze, ich wuj...

— Daj pokój wujowi, opieka pana Dumany będzie stokroć lepsza, niż tego dalekiego krewnego. Oddal się pani i pamiętaj, żeby twoje wagi były dokładniejsze, bo słyszałem, że nie odważasz uczciwie...

Karczmarka oddaliła się, mrucząc pod nosem, a mer zaczął zatrzymywać całe towarzystwo na obiad.

Pan Dumany jednak wymówił się brakiem czasu i po serdecznem pożegnaniu, ruszono w dalszą drogę.

Księżyc wschodził, błyszczący, wspaniały, oświecając szybki odpływ morza.

— Oczekiwana chwila zapewne już nadeszła? — zapytał pan Dumany. Ale Melcia zapytania nie dosłyszała, pochłonięta rozmyślaniem nad wydarzeniami dnia całego.

Sam widok karczmarki tak przykre na niej uczynił wrażenie, że odjął jej na chwilę wszelką chęć działania, a potem druga myśl powracała uporczywie, przejmując ją wzruszeniem.

— Kerdrenc, Kerdrenc — powtarzała — przecież to toż samo nazwisko, które ojciec wspominał tak często...

— Kiedyż będzież mogła wejść do skały? — rzekł pan Dumany, — odpowiedz-że Melciu!...

— Za kwadrans nie będzie tam już wody.

— W takim razie chodźmy.

Po dziesięciu minutach, podczas których nikt nie przerywał milczenia, Iwonek zatrzymał się, szepcząc Murzynowi:

— Patrz, to tutaj...

Wszyscy stanęli, a pan Dumany zapytał jeszcze Melci:

— Czy rzeczywiście tutaj jest wspomniany przez was otwór?

— Tak panie — odrzekła dziewczynka, ale tak czuła się osłabioną, że z trudem zdołała się utrzymać na nogach.

— Na cóż więc czekacie by wejść do środka?

— Potrzebne są łopaty — rzekł Iwonek.

Jo skoczył by je przynieść z powozu, nie upłynęło piętnastu minut, gdy był z powrotem i obaj z panem Andeo poczęli odrzucać piasek we wskazanym miejscu i po chwili oczom zgromadzonych ukazało się wązkie przejście, przez które mogło się przecisnąć dwoje dzieci.

— Wchodź siostrzyczko, ja pójdę za tobą, trzeba wziąć tylko świecę i zapałki, bo tam będzie zupełnie ciemno — rzekł Iwonek.

— Macie jedno i drugie — rzekł pan Andeo, zwracając się do Melci.

Ale ona blada i drżąca nie wyciągnęła po nie ręki, ogarniało ją coraz większe wzruszenie.

— Przepraszam pana — rzekła, zwracając się do pana Dumany — nie wiem sama co mi się stało... taki strach mną ogarnął...

— Ty się boisz, ależ Melciu, co tobie? Nie pamiętam nigdy byś ty o strachach wspominała, a przecież dawniej byliśmy sami, teraz nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, gdybyśmy się nawet zaczęli dusić, to nas wyratują, czegoż się więc mamy obawiać?

— Zdaje mi się, że zemdleję w pół drogi.

— W takim razie Melci stanowczo iść nie dam — rzekł pan Andeo.

— Żal mi ciebie najwięcej, jeżeli naszą wycieczka nie osiągnie celu, skarb, który należy do ciebie, wart jest by go odszukać — rzekł pan Dumany, zwracając się do pana Andeo.

— Ma pan wielką słuszność — zawołała Melcia — a ja źle bardzo postąpiłam, poddając się chwilowemu wzruszeniu, to mówiąc podsunęła się w stronę otworu, lecz krzyknąwszy w bok odskoczyła. W przejściu ujrzała dwie czarne nogi niknące w głębi, a na ziemi przed otworem kurtkę i kapelusz.

— To Jo poczciwy! — zawołał uradowany Iwonek, podczas gdy wszyscy rozmawiali, on zręcznie wsunął się do otworu.

— Już jestem i czekam na dzieci.

— Idę już! — zawołał Iwonek, który wbrew dawnemu zwyczajowi, bez chwili wahania wszedł odważnie i po chwili zniknął w ciasnem przejściu.

— Kiedy są tam we dwóch, to ty Melciu zostań — rzekł pan Dumany — nie jesteś im tam potrzebną.

— Nigdy proszę pana, pogardzałabym sobą za takie tchórzostwo.

I pomimo wszelkich nalegań ze strony pana Andeo, który chciał ją zatrzymać, Melcia poszła za przykładem brata i po chwili nie było jej już widać w ciemnym otworze.

— Gdyby ona jednak zemdlała w tem przejściu, to byłoby okropne — rzekł Andeo bardzo wzruszony, lecz Iwonek już wołał:

— Melcia jest już z nami, bardzo nam wesoło!

Przestrach dziewczynki zniknął, z podziwem patrzyli wszystko troje na istnie zaczarowaną piękność, wnętrza groty oświeconej księżycem. Dzieci zapomniały już tego widoku, a Jo nie widział nigdy czegoś podobnego.

Iwonek pobiegł naprzód i prędko wskoczył na kamienne wschody. U wejścia do groty zatrzymał się, czekając na siostrę i Murzyna.

(d. c. n).

SZARADA.

Pierwsze z *trzeciem*, różnego kształtu i rozmiarów,
Służy do układania w podróży towarów.
Drugie na każdym statku, wśród wichrów pogoni,
Utrzymuje bieg równy i od zguby broni.
Wszystko razem to dziewczę, co to o nim wzmianki,
Znajdzie kto tylko zechce, wśród każdej sielanki.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożył Lew z n. Nilu.

1. Spółgłoska.
2. Dopływ Wisły.
3. Miasto nad Wartą.
4. . . . . .
5. Rzeka wpadająca do morza Czarnego.
6. Miasto w guberni Podolskiej.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć powinny imię kartagińskiego bohatera.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Stanisław J.

. . . . . Zastąpić kropki literami aby
. . . . . pierwszy rząd oraz pierwsze lite-
. . . . . ry złożyły imię króla izraelskiego,
. . . . rząd 2 Miasto w Danii. 3) Rzeka we
. . . Francyi. 4) Zwierzę domowe. 5) Jeden
. . z 12 miesięcy. 6) Zaimek. 7) Spółgłoska.
.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 38-go

Szarady: Fa — ra — on.

Łamigłówki kropkowanej:

Żeby kózka nie skakała,
Toby nóżki nie złamała.

Tym tylko Bóg się opiekuje,
Kto się do woli Jego stosuje.

Łamigłówki w kwadracie:

R i n a l d i n i
I g u a n o d o n
N i k a r a g u a
A b i s s y n i a
L o d o m e r y a
D u n k i e r k a
O s e t y n i e c

Skrzynka do listów.

Z przykrością zauważyliśmy, że wiele czytelniczek przez nieuwagę prawdopodobnie, pominęło podany przez Redakcyę warunek t. j. aby do każdej robótki przyszyta była kartka z pseudonymem wiekiem i adresem przysyłającej ją panienki. Mimo szczerej chęci zaradzenia złemu, niepodobna nam odszukiwać adresu zapewne w oddzielnie nadsyłanych listach, i z tego powodu wiele robotek nie będą mogły być zamieszczone w ogólnym spisie.

Rozalia B. z nieświadomości zapewne, do listu wymagającego siedmiokopiejkowej marki pocztowej, przylepiła tylko markę trzykopiejkową, przez co naraziła Redakcyę na zapłacenie za nią dziesięciu kopiejek kary. Zwracamy zatem uwagę wszystkich naszych korespondentów na potrzebę stosowania się do przepisów pocztowych.

Po czytelnem i porządnem piśmie *Konrada L.* nie można się domyślić, że uległ przykremu wypadkowi zwichnięcia ręki. Życzymy mu prędkiego powrotu do zdrowia i dziękujemy za nadesłane łamigłówki, które, o ile to będzie możliwem, wkrótce wydrukujemy. Żądane numera Wieczorów prześlemy po odebraniu adresu.

Nauczycielce, p. *A. K.*, winszujemy pomyślnego rezultatu jej pracy. Nagrody za staranną kaligrafię Białej ptaszyny i czarnego Węgielka wkrótce będą wysłane. Koszt przesyłki wynosi kop. 30.

Józiowi L. z Heidelberga zasyłamy pozdrowienie, jak również brakujące arkusze powieściowe.

Cieszy nas zaufanie *Zofii B.* przysyłającej nam pierwsze próby pióra swego; zaufanie to nakłada na nas obowiązek zupełnej szczerości, i młoda autorka zechce przyjąć życzliwą radę, aby nie dobijała się przedwcześnie o rozgłos literacki. Zawód autorski więcej może, niżeli każdy inny, wymaga długiej i mozolnej przygotowawczej pracy.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: *Konrad L.*, *Ludwik K.*, *Niezapominajka* z nad Sanu, *Jadwinia B.* Łamigłówkę *Kielczanina* odłożyliśmy do przejrzenia.

Ludwisia K. objaśniam, że kredy zwyczajnej w bryłkach dostać można nietylko w większych składach materyałów aptecznych, ale i w mniejszych sklepikach, gdzie sprzedają różne do domowego użytku przedmioty, a z jej pomocą łatwo będziesz mógł wykonać walkę okrętów na morzu, lecz ja nie podjęłabym się pomódz w urządzeniu jej, z natury bowiem mam upodobanie w spokoju i ciszy, nie lubię burzy, choćby tylko na talerzu.

Z ochotą odnowię z tobą korespondencyą, kochane Żabie oczko, pewną będąc, że jesteś dobrą, pracowitą i porządną dziewczynką. O dobroci twojej wnoszę z tego, że swoją pracę dla biednych przeznaczasz, o pracowitości świadczy nadesłana robótka, a dowodem porządku są kawałki materyału, dołączone do naprawy sukienki w przyszłości. Tak tobie ,jak wszystkim swoim korespondentom zasyła pozdrowienie:

Jaskółka.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Сентября 1896 г. Wdrukarni Noskowskiego Warecka Nr. 15.